NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 8·75 Półrocznie kor. 17·50. Rocznie kor. 35. — Do Niemiec: Kwartalnie 9 kor. 50 hal. Półrocznie 19 kor. — hal. Rocznie 38 kor. — hal., z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 10 kor. 50 hal. Półrocznie 21 kor. 10 hal. Rocznie 42 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 40 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 56 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XII ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. [illegible]

[illegible] Sylweryusz [illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 31.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 70 halerzy.

Rok XV. Kraków, 13 kwietnia 1918. Nr. 15

Z walk na zachodnim froncie.



Niemiecka baterya na zdobytej pozycyi angielskiej.

Treść numeru: Bolesna strata. — Pogrzeb ś. p. Tadeusza Rutowskiego. — Odessa pod nowymi rządami. — Praca narodowa na Wołyniu. — Odbudowa kraju w Królestwie Polskiem. — Echa świąt. — Dzieci dla dzieci i t. d.

Z walk na zachodnim froncie.

W ofenzywie niemieckiej na zachodzie nastąpiła pauza, choć naturalnie nie ustała walka, która toczy się z niemniejszą zaciętością, przybrała jednak znowu charakter walki pozycyjnej. Fakt ten dał powód prasie koalicyjnej do najrozmaitszych komentarzy. Gdy jedni uważają to już za koniec ofenzywy, inni przestrzegają przed zbytnim optymizmem, opowiadając, że lotnicy widzą na tyłach niemieckich całe mrowia koncentrowanych nowych wojsk, że więc dalszych ataków niemieckich należy w najbliższej przyszłości oczekiwać. Nie ulega jednak wątpliwości, że nawet dowództwo koalicyjne nie wie dobrze, czy ma przed sobą nieprzyjaciela, który szuka już tylko wypoczynku na nowo zdobytych pozycyach, czy też gotuje się do nowego ataku. Stanowczej odpowiedzi na to pytanie nikt z poza nielicznych wtajemniczonych, dać naturalnie nie może. W każdym razie przez ofenzywą swoją Hindenburg wbił klin w linie francusko angielskie. Ostrze tego klina, szerokie na jakie dwadzieścia kilometrów, w rozwoju bitwy skręciło się nieco ku południowi, tak, że teraz kierunek jego ciśnienia wypada niezupełnie na środek przestrzeni między Amiens a Compiegne, bliżej ku Amiens. Ostrze to przesunęło się w ostatnich ciężkich walkach o jakie pięć do dziesięciu kilometrów na zachód od Avry, zajmując linię Castel Mailly-Fontaine. Według ostatnich relacyi, jest to najbardziej wysunięta linia ofenzywna niemiecka. Północny jej punkt oporowy znajduje się w odległości 10 kilometrów od Amiens, pod Castel, gdzie linia ostrza klina przechodzi w wydłużoną linię północnego boku tego klina niemieckiego. Anglicy i Francuzi wywierają tu niewątpliwie najbardziej energiczne ciśnienie na ten odcinek północnego boku tego klina.

Boki klina niemieckiego nie są równe. Północny, znacznie dłuższy idzie od Arras w kierunku bardzo wybitnie południowo-zachodnim, pozostawiając za sobą Albert i wyginając się lekko wstecz na linii Cerisy-Morcourt-Boyonvillers-Auberscours. Linia ta zamyka przestrzeń najczęstszych, najsilniejszych i taktycznie najbardziej uzasadnionych kontrataków angielskich, o których się od tygodnia ciągle słyszy. Ze względu jednak na mały kąt odchylenia linii północnego boku klina niemieckiego, strategiczne zadania obrony nie mogą na niej leżeć. Sfera tych zadań otwiera się przed Fochem wzdłuż południowego boku klina niemieckiego, który wyszedłszy z punktu, w którym stary front niemiecki skręcał z południa ku wschodowi, więc między Chauny a Coucy, idzie w kierunku zachodnim z bardzo lekkim odchyleniem ku północy, na południe od Noyon, na północ od Lassigny ku Montdidier. Południowy bok klina niemieckiego jest blisko dwa razy krotszy od północnego. Na przestrzeni pięćdziesięciu kilometrów wydłużony stoi nowy front niemiecki prawie prostopadle do dawnej w tem miejscu linii frontu stałego, tworząc bardzo wydłużoną flankę niemieckich armij atakujących.





Z walk na zachodnim froncie: Jeńcy angielscy, wzięci do niewoli przez Niemców w okolicy St. Quentin. Artylerya niemiecka w czasie walki pod Ham (Fot. Bufa)



Bolesna strata: S. p. Lucyan Rydel.

Bolesna strata.

Lata wojny niosą Polsce obfite żniwo śmierci. W pełni sił i w pełni energii twórczej zeszła znowu do grobu jedna z najwybitniejszych postaci piśmiennictwa polskiego. W domku swym wiejskim w Bronowicach pod Krakowem zakończył życie ś. p. Lucyan Rydel, poeta wysokiej miary, autor licznych dzieł scenicznych, a pozatem przenikliwy badacz historyi sztuki i historyi literatury powszechnej, miłośnik i entuzyasta piśmiennictw grecko-rzymskich i arcydzieł literatury tej tłumacz jeden z najświetniejszych, jaki miała Polska.

S. p. Lucyan Rydel urodził się w Krakowie w roku 1870, jako syn znanego okulisty i profesora Wszechnicy Jagiellońskiej. Z domu rodzicielskiego (dziadkiem jego był prof. Józef Kremer), wyniósł poeta umiłowanie swojskiej poezyi i tradycyi narodowej. W gimnazyum św. Anny, do którego uczęszczał, kolegował i zaprzyjaźnił się ze Stanisławem Wyspiańskim, Kazimierzem Tetmajerem, Józefem Mehofferem i kilku innymi, którzy pospołu z nim powołani być mieli do pracy w warsztacie narodowej kultury. Ukończywszy w r. 1893 wydział prawa w uniwersytecie Jagiellońskim i uzyskawszy doktorat, poświęcił się pracy na niwie literackiej. Dziennikarstwo nie odpowiadało jednak jego umiłowaniom. Po krótkiej próbie w redakcyi „Czasu“, wyjechał do Berlina, Paryża i Warszawy, skąd po całorocznym tamże pobycie powrócił aby w rodzinnem mieście oddać się umiłowanej pracy twórczej. Rozpoczął od poezyj rozsypanych po czasopismach i zebranych następnie w tomiku „Poezyj“ (1899) który doczekał się dwóch wydań. Następnie ogłosił dwa nastrojowe pod wpływem Maeterlinckowskim napisane utwory „Matka“ i „Dies irae“, oraz dramat „Z dobrego serca“. Dramat poetycki wierszem „Zaczarowane koło“, wydany w r. 1900, zapewnił mu nie tylko nagrodę konkursową Sienkiewiczowską w Warszawie, ale spopularyzował równocześnie nazwisko Rydla, jako autora dramatycznego. Z tej dziedziny napisał jeszcze dramaty „Jeńcy“ i „Na zawsze“, poczem po dłuższej, bo kilkuletniej przerwie, ogłosił w r. 1909 najcelniejsze swoje dzieło dramatyczne wierszem „Trylogię Jagiellońską“, której wyjątkowe powodzenie na scenach polskich w Krakowie, Warszawie i Lwowie, utrwaliło popularność autora i utorowało mu drogę do stanowiska dyrektora teatru miejskiego w Krakowie, które mu powierzono w r. 1915.

Okazało się jednak, że mimo wysokiej kultury





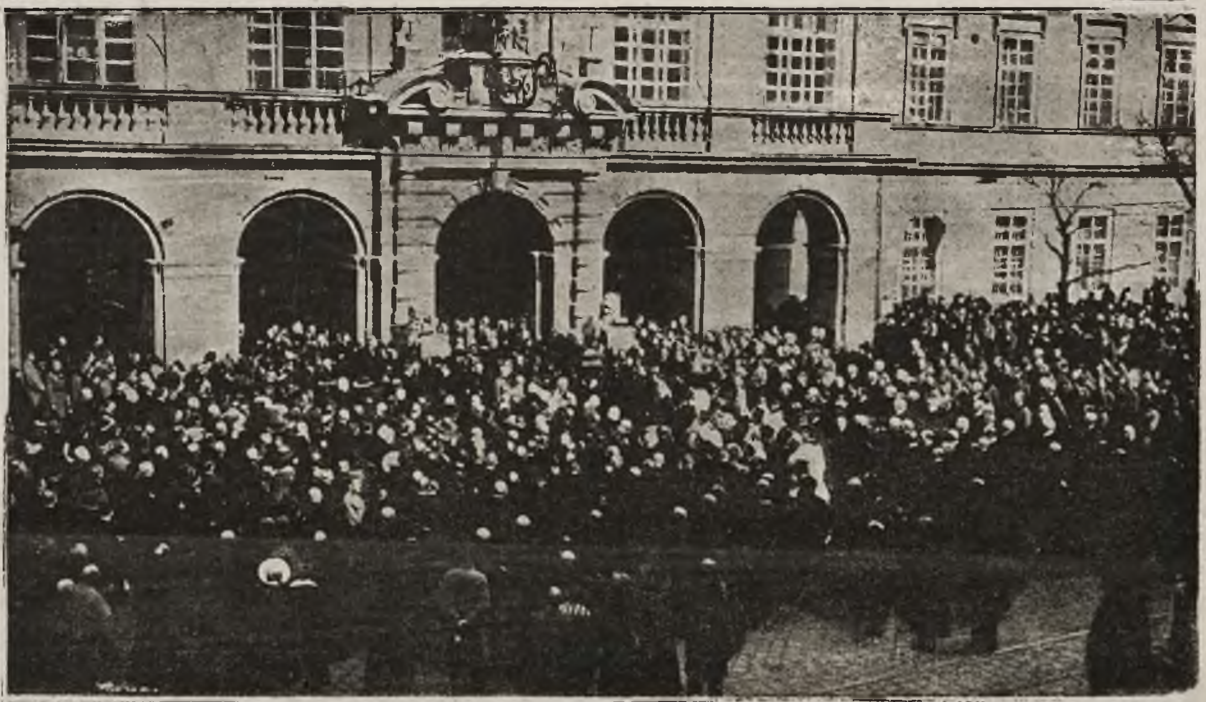
Pogrzeb ś. p. Tadeusza Rutowskiego: Kondukt pogrzebowy. Rodzina i delegacye za trumną (Fot. M. Münz, Lwów)

literackiej i przygotowania zawodowego, którem było prowadzenie przez dłuższy czas działu krytyki teatralnej w „Czasie“, bujna natura poetycka nie umiała się nagiąć do utylitarnych wskazań, jakie nakłada prowadzenie teatru. To też po roku pracy ustąpił, aby oddać się całkowicie pracy literackiej.

I byłby w tym kierunku niewątpliwie więcej zdziałał, gdyby konieczności życiowe i troska o byt rodziny nie kazały mu imać się pracy nauczycielskiej w Akademii Sztuk pięknych (był docentem historyi sztuki) i na kursach im. Baranieckiego, gdzie od lat kilkunastu wykładał historyę literatury powszechnej.

Od tych powszednich zajęć, które pochłaniały go całkowicie, uciekał co prędzej do swego wiejskiego domku w Bronowicach, gdzie na łonie rodziny, otoczony naturą, latem w altanie ogrodowej, zimą w pracowni, zapełnionej pod sufit księgami, pogrążał się w lekturze i pisaniu. Pozostało po nim mnóstwo rzeczy niewydanych — a między innemi zapiski do dzieła o Grecyi, którego część wydał w r. 1910, nadto poezye „Wrażenia z podróży“, dalej przepiękny przekład „Iliady“ Homera, niestety niewykończony w całości.

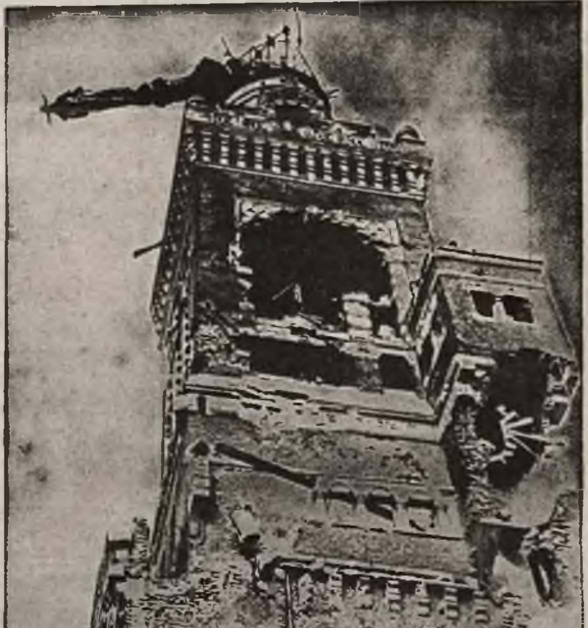
O chorobie ś. p. Lucyna Rydla od dawna niepokojące obiegały wieści. Po przebyciu ciężkiej choroby nerek, która przed rokiem powaliła go na łoże boleści, po szczęśliwem przebiegu operacyi, wrócił poeta nasz do zdrowia i zdawało się, że niebezpieczeństwo, które podówczas zagrażało jego życiu, na dłuższy czas usunięte zostało. Widywaliśmy go już w pełni sił, ożywionego chęcią pracy, opowiadającego z zapałem o dokonanych i zamierzonych pracach, przejętego żywo losami Ojczyzny, wiążącymi się z przebiegiem światowej wojny. Zdawało się, że gorące serce poety, bijące tak żywo dla sprawy narodowej, opłynęło falą nadziei i w niej zaczerpnęło nowych sił do życia i działalności. Wiadomość o niepomyślnym obrocie sprawy o pokoju brzeskim podziałała nań druzgocąco. W pogodnem usposobieniu jego, żywym temperamencie zaszła najzupełniejsza zmiana. Cios narodowy odczuł jak osobiste nieszczęście — pochylił się, podupadł na zdrowiu i zmienił się całkowicie w usposobieniu. Nagle przed dwoma tygodniami zapadł ponownie, tym razem na zapalenie płuc. Choroba rozwinęła się groźnie i położyła kres jego życiu.



Pogrzeb ś. p. Tadeusza Rutowskiego: Przemówienie dra Chlamtacza przed Ratuszem (Fot. M. Münz, Lwów)



Odessa pod nowymi rządami: Jeńcy japońscy w Odessie. (Woj. kwat. pras.)



Z walk na zachodnim froncie: Uszkodzona pociskami wieża kościoła w Albert. (Fot. Pr. B. Lip)



Z walk na zachodnim froncie: Transportowanie dział niemieckich przez zdobyte pozycye wojsk angielskich. (Fot. Bufa)

Zmiana rządu w Królestwie Polskiem.

Po długich pertraktacyach i naradach utworzył się wreszcie w Królestwie Polskiem nowy gabinet w składzie następującym: Dr. Steczkowski prezydyum i finanse, Stecki sprawy wewnętrzne, Ponikowski oświata, Chodźko roboty publiczne i opieka społeczna, Dzierzbicki rolnictwo, Higesberger sprawiedliwość, Janusz ks. Radziwiłł departament polityczny.

Z powodu nieprzyjęcia teki ministra handlu i przemysłu przez p. Stanisława Szymańskiego, dyrektora fabryki Tow. akc. „Zawiercie“, obsadzenie tego stanowiska nastąpi w dniach najbliższych.

W dniu 4 kwietnia odbyło się pod przewodnictwem p. Steczkowskiego pierwsze posiedzenie członków nowego gabinetu, który obejmując rządy w okresie



Z walk na zachodnim froncie: Przybycie pierwszych jeńców angielskich do niemieckich pozycyi pod St. Quentin. Na pierwszym planie stos angielskich masek gazowych. (Fot. Bufa).

ciężkiego przesilenia, wywołanego sprawą chełmską, ogłosił w „Monitorze Polskim" oświadczenie zawierające następujący program nowego rządu:

Powołani zaufaniem Najdostojniejszej Rady regencyjnej do utworzenia rządu Królestwa Polskiego, zdajemy sobie zupełnie sprawę ze szczególnej odpowiedzialności, jaka — z powodu braku oparcia o przedstawicielstwo narodowe — połączona jest z objęciem urzędów naszych. To też usilnem staraniem naszem będzie doprowadzić jak najrychlej do ukonstytuowania Rady stanu, jako przejściowego organu prawodawczego, aby przy jej współdziałaniu stworzyć spiesznie warunki dla niezwłocznego zwołania sejmu, w którym myśl i wola narodu będą mogły wypowiedzieć się ostatecznie.

Jest to sprawa tem bardziej pilna, że rozwój stosunków międzynarodowych, a przedewszystkiem układ stosunków państw sąsiednich, tworzących się na dawnych terytoryach imperyum rosyjskiego, zniewala nas do rychłego — w ścisłem porozumieniu z państwami centralnemi — ustalenia form prawno politycznych naszego państwa i określenia jego stanowiska. Jest przeto obowiązkiem naszym poczynić przedewszystkiem potrzebne ku temu przygotowania, szukając możliwego zabezpieczenia naszych interesów politycznych i narodowych co do granic, urządzeń państwowych i warunków gospodarczego rozwoju.

Zajmiemy się również jak najusilniej tworzeniem wojska polskiego, jako koniecznego organu siły i obrony państwowości, przyczem stwierdzamy, że znaczne części wydzielonych z dawnej armii rosyjskiej i dotychczas jeszcze poza granicą kraju pozostających korpusów polskich, będą mogły stać się pożądanem zasileniem kadrów polskiej siły zbrojnej.

Rozumiejąc zadanie swoje przedewszystkiem jako pracę nad odbudową i utrwaleniem państwowości polskiej, mamy postanowienie i otwartą dziś drogę do niezwłocznego przeprowadzenia organizacyi władz polskich i przejęcia w najbliższym czasie dalszych dziedzin administracyi, a to w miarę postępu niazbędnych przygotowań i z temi jedynie czasowemi na rzecz mocarstw okupacyjnych ograniczeniami, których nieodzowność pozostawać będzie w związku z wciąż jeszcze srożącą się w Europie wojną.



Zmiana rządu w Królestwie Polskiem: Jan Kanty Steczkowski, prezydent nowego gabinetu ministrów



Z walk na zachodnim froncie Transport czterech tysięcy jeńców angielskich w punkcie zbornym pod Arras. (Fot. Bufa)

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE

Powieść z dni ostatnich.

43

Po wargach jej przesunął się uśmiech gorzkiej ironii.

Panna Antonina oczekiwała z pewnym niepokojem dalszych pytań. Ale Józia nie pytała już o nic. Przymknęła powieki i leżała nieruchomo. Zdawało się, że nawet nie czuje, iż Anielka poprawia jej poduszki i kołdrę i przygładza rozrzucone włosy.

Z tą woskową bladością, z wydłużonym, zaostrzonym owalem twarzy, z głęboko zapadłemi oczyma i bezkrwistemi ustami wyglądała jak cień dawnej pięknej, kwitnącej, pełnej życia i temperamentu dziewczyny.

Kołdra podnosiła się leciutko oddechem na jej piersiach. Powieki drgały niekiedy. Gdyby nie to, możnaby pomyśleć, że już nie żyje.

Panna Korzewska, wsparta o poręcz łóżka, przypatrywała się siostrzenicy i kiwając żałośnie głową, co chwila obcierała nos dużą płócienną chustką.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Proszę pani — mówiła w kilka dni później panna Korzewska do Walczakowej — tego to już zrozumieć nie mogę, że ona do pani nie napisała. No, bo, że do mnie...

Odwróciła głowę ku oknu, przy którem obie stały. Wpatrzyła się w płatki śniegu, fruwające poza szybami.

— Że do mnie przyjechać nie chciała, że mi się nie zwierzyła, to jasne... Nie lubiła mnie... Co to nie lubiła!... Nie znosiła poprostu! — panna Antonina tak zbliżyła twarz do okna, że aż przypłaszczyła nos o szybę — Ale panią tak kochała przecież!...

— Istotnie — odpowiedziała w zamyśleniu Anielka — sądziłam, że Józia ma do mnie więcej zaufania...

— O! Uparta była zawsze, harda, nieobliczalna! Szalone dziecko!

— A jednak ja domyślam się powodów, które jej kazały tak uparcie milczeć.

— Waryactwo i tyle! - zadecydowała panna Korzewska.

Anielka nie odpowiedziała nic, spojrzała tylko w kierunku łóżka, bo zdawało się jej, że Józia się budzi.

— Albo, moja droga pani, co to za fikcya była z tem całem małżeństwem. Ten Żarnicki, ten romansowy amant na utrzymaniu mamy, to, powiadam pani, odrazu mi się nie podobał!... Ale czy to Józka posłuchała kiedy rozsądnej rady?! Pana Pietraszka nie chciała!... No i ma teraz! — dokończyła ciotka już z jakąś złością.

— Jakiego pana Pietraszka?

— Przyzwoity człowiek, proszę pani, stateczny, spokojny i nadoficyał pocztowy. Podobała mu się Józka, byłby się ożenił. Święte życie miałaby przy nim!... Sama swatałam, perswadowałam, ale mnie wyśmiała, wykpiła!...

— Jeżeli nie podobał się jej.. jeżeli go nie kochała. — tłomaczyła Anielka, przygryzając wargi, aby pokryć mimowolny uśmiech.

— Kochała nie kochała! — mruknęła panna Antonina — Dużo jej przyszło z tego, że się w tym gamoniu zakochała!... Nie lepiejby to już było, żeby poszła za tego nauczyciela, z którym ją pani swatała.

— Ja nie swatałam Józi z nikim — odpowiedziała spokojnie Walczakowa — ona nie należy do natur, które się nadają do swatania... Na to ma zbyt dużo temperamentu i zanadto bujną wyobraźnię.

— Otóż to, ten nieszczęśliwy temperament!...

— ...i gdyby pan Maliniewicz — ciągnęła dalej młoda kobieta, pomijając milczeniem ostatnią uwagę panny Korzewskiej — nie usiłował tak za wszelką cenę wydać ją za mąż za byle kogo, to byłoby się uniknęło niejednej biedy...

— To prawda!.. Pani droga, co to za ojciec!... Choć mój krewny, ale powiedzieć muszę, że już trudno o obojętniejszego ojca!... Żeby go tak w powieści opisać, toby ludzie powiedzieli: niemożliwe! Niema takiego... A jest jednakowoż, jest! na nieszczęście tych biednych dziewcząt!... Zawsze dbał tyle o córki, co o śnieg zeszłoroczny, ale od czasu, jak się ożenił z tą, przepraszam za wyrażenie, malowaną małpą, to już całkiem zdechł pies!... Pani myśli, że jego to naprawdę obeszło?! Gdzie tam!... W pierwszej chwili trochę mu się niejako zrobiło, ale zaraz sobie zadysponował francuskie kluseczki na obiad!... I napewno jadł z apetytem, a ty Józiu choć giń, przepadaj!...

Panna Korzewska tak energicznie zatrzęsła głową, że aż zachwiały się grzebienie w jej siwiejących, twardo zaczesanych włosach.

Anielka milczała, zamyślona.

— Tak... tak! — rzekła wreszcie — To smutne bardzo, ale cóż na to możemy poradzić!...

— No, powiem ja mu jeszcze słowa prawdy!... Przysłał głupie sto koron i myśli, że się wykupił...

Anielka nie odpowiedziała nic. Panna Antonina umilkła także.

— Zauważyła pani — podjęła znowu po chwili panna Korzewska — jaka ta Józia teraz dziwna... jak się zmieniła...

— To chyba naturalne.

— Kiedy ja nie to mam na myśli, że zmizerniała, wychudła. Oczywiście, po takiej chorobie musiała się zmienić. Ale ona taka jakaś zupełnie inna niż była. Apatyczna, obojętna na wszystko.

— Osłabiona ogromnie...

— Kiedy to, powiadam pani, nie z osłabienia! Przecież ze zdrowiem, dzięki Panu Bogu, lepiej. Gorączka spadła, apetyt ma, śpi spokojnie, cery nawet trochę nabrała. Ale ani zapyta o co, ani się uśmiechnie, ani się zainteresuje czemś, ani zasmuci, ani ucieszy. Tak, jakby ją nic na świecie nie obchodziło. Leży przez cały dzień i patrzy w sufit albo przed siebie, że aż strach bierze człowieka.

— Prawda — szepnęła Walczakowa — i ja to spostrzegłam.

— Pani przyniosła jej wczoraj takie śliczne kwiaty.. O tej porze taki wydatek!... I ona, co dawniej rozpadała się nad każdem zielskiem, ani się nawet nie popatrzyła!... Mówię jej: „przeczytać ci co?" a ta „dziękuję, nie" i ani słowa więcej. Powiadam: „wiesz, ojciec pisał", żeby się choć zapytała, co pisał... Nie! W tem jest coś dziwnego...

— Tak, tak...

— Że się tam nie ucieszyła, jak mnie zobaczyła, to mnie nie zdziwiło, choć zawsze... No, mniejsza z tem! Ale panią!.. Toż ona formalnie o pani marzyła i teraz tak obojętna!... Przecież z samej wdzięczności... Pani taką ofiarę poniosła dla niej...

— Cóż znowu... — protestowała Anielka.

— A może to nie ofiara, odjechać od męża, od dziecka, w zimie, na same święta...

— Proszę pani, o jakiejś ofierze, czy wdzięczności mowy tutaj być nie może. Przyjechałam tak, jakbym przyjechała do siostry, bo Józię kocham jak siostrę, a może nawet więcej. Raczej wyrzucam sobie, że tak mało troszczyłam się w ostatnich czasach o nią, ale nie chciałam wtrącać się pomiędzy małżeństwo.

— Sama powinna była zwrócić się, a nie dziwaczyć! Albo jak przyjęła tego miłego, poczciwego staruszka, który się nią tutaj pierwszy zaopiekował.

Za oknem śnieg sypał coraz większymi płatami. Anielka, wpatrzona w wirujące, białe chmury, mówiła cicho, z wyrazem wielkiego skupienia w swoich pięknych, głębokich oczach, oczach kobiety niezmiernie dobrej, która stara się zrozumieć i umie przebaczać.

— Niech pani pomyśli tylko, co ona przeżyła... Takie bezradne, nieuzbrojone stworzenie. Niech pani sobie uprzytomni tylko. To mogło złamać silniejszą, odporniejszą naturę, a Józia... Biedna, mała, śliczna Józia...

Głos Walczakowej załamał się, szeptem już prawie mówiła dalej:

— Czy pani nie przypuszcza, że tak samo jak choroba zmogła ją fizycznie, tak i dusza jej jest chora... Bardzo chora...

Panna Antonina pokiwała głową, na kształt owego Chińczyka z porcelany, który stał na komodzie w jej staropanieńskim pokoju.

— Moja pani, moja droga pani, prawda, że tam się mogło w niej coś przekręcić... Toż ona kelnerką była w jakiejś norze!... Moja siostrzenica!... Panna Maliniewicz!... A potem między najgorszą hołotą i w nędzy!... Sama jedna, taka młoda i głupia... Chryste Panie!... To... to jeszcze nie najgorsze co ją spotkało!...

Kobiety spojrzały na siebie i obie zadrżały, przejęte jedną straszliwą myślą.

Walczakowa zakryła rękami oczy i tak trwała przez chwilę.

Panna Konewska zabębniła palcami jakiegoś wściekłego marsza po szybie.

— Musiał chyba mocny wiatr wiać — podjęła po chwili — kiedy się ta Józka rodziła, bo takie to postrzelone! Do niczego przywyknąć, do niczego się przystosować! Nie, żebym broniła tej starej Żarnickiej, bo to musi być żmija, ale że tam i Józka musiała wypłatać jakiegoś porządnego figla, to jak amen w pacierzu. Nie byłaby chyba sobą!...

— Cicho!... — szepnęła Anielka. — Józia się budzi.

— Pójdę przypomnieć, żeby jej zaraz ciepłe mleko przynieśli — powiedziała panna Korzewska i wyszła szybko.

Walczakowa pospieszyła ku chorej.

— Jak się czujesz, Józieńko?

— Dobrze — brzmiała krótka, sucha odpowiedź, rzucona głosem znużonym, matowym i jakby niechętnie.

— Pić ci się chce?

— Nie.

— Zjadłabyś może co?

— Dziękuję, nie.

Anielka pogładziła miękką, ciepłą dłonią rozrzucone nad czołem włosy przyjaciółki. Józia ani drgnęła pod tą pieszczotą.

— Chcesz może czego, dziecino?

— Niczego.

Anielka usiadła na krześle przy łóżku i badała wzrokiem rysy wychudłej twarzy Józi, która choć blada jeszcze bardzo i przejrzysta, zaczynała powoli nabierać kolorów życia.

Tylko oczy były ciągle jeszcze równie przygasłe, spoglądały przed siebie tępo i miały wyraz dziwnej, zastraszającej wprost obojętności czy apatyi.

Józia leżała na wznak, nieruchomo.

Walczakowa po chwili sięgnęła ręką do stoliczka przy łóżku po butelkę z lekarstwem. Ostrożnie nalała pełną łyżkę stołową i zwracając się do Józi, rzekła:

— Józiu, trzeba wziąć lekarstwo.

Chora leniwie obróciła głowę i spojrzała na przyjaciółkę.

— Lekarstwo? — powtórzyła.

W oczach jej zamigotały nagle, jakby iskierki buntu.

— Poco? — zapytała bezdźwięcznie.

Powieki Walczakowej drgnęły.

— Musisz wyzdrowieć, Józieńko...

— Muszę wyzdrowieć?... Poco?...

Anielka nie odpowiadając przychyliła łyżkę do ust Józi. Chora wypiła już bez słowa protestu, ale i bez słowa podzięki za troskliwość.

Walczakowa otarła łyżkę, odłożyła i usiadła w milczeniu. Chora przymknęła oczy i zdawało się, że znowu usypia. Po chwili podniosła powieki i pierwsza przemówiła:

— Anielko!

Anielka żywo zwróciła się ku niej.

— Co Józiu?...

— Dlaczegoście wy mi umrzeć nie dały?

Brzmiało to nawet nie jak skarga, ale jak suche rzeczowe zapytanie, które wymaga ścisłej odpowiedzi.

Walczakowa zmieszała się. W pierwszej chwili nie wiedziała, co odrzec, a zanim zdążyła namyślić się, weszła panna Antonina z dużą, pełną szklanką mleka w ręku.

— Pij mleko, Józiu! — powiedziała głosem, który jak na nią był bardzo łagodnym, choć nie mógł wyzbyć się całkowicie tonów ostrych i szorstkich.

Józia posłusznie, nic nie mówiąc, wypiła mleko z tą samą leniwą obojętnością, jaka cechowała obecnie wszystkie jej ruchy.

Ciotka pamiętała dobrze, że Józia dawniej nie znosiła ciepłego mleka. Bywały o to nieraz awantury, bo panna Antonina uważała, że takie właśnie mleko „odżywia" i zmuszała do wypicia go opierającą się gwałtownie dziewczynkę.

Teraz życzyła sobie prawie, aby siostrzenica skrzywiła się po dawnemu kapryśnie, czy gniewnie nawet i by zawołała marszcząc brwi:

— Nie chcę!... Nie cierpię!... Nie będę!...

Możnaby jej perswadować, prosić, wykrzyczeć bodaj, ale byłby to przynajmniej jakiś odruch woli, życia, coś, coby przypominało niesforną, „szaloną" Józkę.

A tak, ta figurka, poruszająca się jak automat i przemawiająca jak nakręcona lalka, budzi w pannie Korzewskiej trwogę i niepokój.

(Ciąg dalszy nastąpi).

dni byli Polacy gospodarzami tego najważniejszego portu rosyjskiego nad morzem Czarnem, bo i Ukraińcy którzy nie mają swej armii, również zwrócili się do Polaków z prośbą, aby objęli władzę nad miastem i stali na straży bezpieczeństwa publicznego. Polacy zgodzili się na to i oni to imieniem rządu bolszewickiego i ukraińskiego oddali miasto wkraczającym wojskom niemiecko austryackim, pozostając obok austryackich władz wojskowych, przy rządach jako Polski Komisaryat wojskowy okręgu odesskiego.

Z tej relacyi okazuje się, że wbrew pierwotnym doniesieniom, zajęcie Odessy odbyło się bez wystrzału, w najzupełniejszym spokoju. Swiadczy o tem również zamieszczona w dzisiejszym numerze illustracya, przedstawiająca moment wkroczenia wojsk austryackich do tego miasta. Jako pamiątka po krótkotrwałych tam rządach bolszewików pozostała tylko „dekoracya" pomnika carycy Katarzyny, który, jak to widzimy na jednej z illustracyi, okryto płachtą, aby nie drażnił swym widokiem „rewolucyjnych" uczuć bolszewików.

Odessa pod nowymi rządami.

W poprzednim numerze, w rubryce „Z tygodnia", opisaliśmy obszernie rolę, jaką odegrały wojska polskie w Odessie, przed zajęciem tego miasta przez wojska sprzymierzone. Zarówno bolszewickie wojska lądowe, jak i rosyjska flota czarnomorska, ustąpiły z Odessy jeszcze przed wkroczeniem Niemców, oddając rządy miasta oddziałom polskim. Przez kilka



Odessa pod nowymi rządami: Pomnik carycy Katarzyny w Odessie, zakryty przez bolszewików. (Woj. kwat pras.)



Z walk na zachodnim froncie: Ruiny zburzonego kościoła w Neuville. (Fot. Pr. Biuro Lip.)

Praca narodowa na Wołyniu.

Najlepszym dowodem, że najbrutalniejsza nawet przemoc nie może złamać ducha narodu, jest budzący się obecnie, po tylu latach ucisku rusyfikacyjnego, ruch narodowy na kresach dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Nie pomogły gwałty carskich rządów, które tępiły tam każdą myśl polską, skazując na więzienie i Sybir tych, co ośmielili się nieść tam ludowi oświatę i książkę polską. Duch polski, choć w ukryciu, ale żył tam i czekał tylko chwili, aby zabłysnąć znowu potężnym płomieniem. Chwila taka nadeszła, gdy sfora carskich rusyfikatorów musiała uciekać w głąb Rosyi wraz z rozgromioną armią rosyjską. Przebudził się też odrazu do życia narodowego i Wołyń, gdzie powstały liczne szkoły polskie i instytucye oświatowe. Jedną z miejscowości, gdzie po ustąpieniu Rosyan, miejscowy lud zabrał się energicznie do pracy narodowej, jest wieś Jagodyn, w powiecie Włodzimierskim. Przedewszystkiem założono tam szkołę polską (którą przedstawiają nasze illustracye) a o nastroju ludności wymownie świadczy list wójta wsi Jagodyn, Jana Prończuka, który odnośnie do tej pracy oświatowo-narodowej pisze:

„Wieś nasza, Jagodyn, liczy 1015 dusz polskich i należy do parafii w Lubomilu, gdzie jest kościół wybudowany przez króla Jagiełłę. Swiadczy to najdobitniej, że my na wschód daleko od Chełma jesteśmy i byliśmy od dawien dawna Polakami.

Na 1015 dusz polskich uczęszcza do szkoły polskiej 245 dzieci na naukę dzienną, a 75 osób starszych na naukę wieczorną dla analfabetów. W szkole mamy dwu nauczycieli z Galicyi, Polaków, którzy z całem poświęceniem oddają się szkole. Zaledwie cztery miesiące istnieje szkoła, a już dziatwa nasza, starsza i młodsza, porobiła znaczne postępy w nauce. Jako prosty wieśniak od pługa nie jestem w możności opisać radości serca mego, gdy spojrzę rano na spieszącą dziatwę do szkoły, gdy ucho moje usłyszy w domu śpiew pieśni patryotycznych, wyuczonych w szkole. Dla nas, prześladowanych za wiarę katolicką, za naszą polskość, jest ta nowa zmiana niby snem, nie zdajemy sobie sprawy, co się w około nas dzieje i pomimo niedostatku rozłąki z synami, braćmi, którzy przelewają krew na wojnie, my jak dzieci cieszymy się tą naszą polską szkołą, tą kochaną młodzieżą, wychowywaną w duchu narodowym. Jesteśmy pewni, że ta szkoła polska będzie jakby fundamentem silnym naszej polskości na kresach. Ach! Gdybyśmy dożyli i zobaczyli tę młodzież obecną wyrośniętą, na samoistnych stanowiskach, młodzież wychowaną prawdziwie po polsku, po katolicku.

Wieś Jagodyn należy do parafii w Lubomilu, która liczy zwyż 6000 dusz polskich. Do parafii lubomilskiej należą wsie: Jagodyn, Kupracze, Rymacze, Terebeiki, Jankowce, Kąty, Rakowice, Zamłynie, Bendiuga, Borki, Zemlica i wiele innych wsi, które są czysto polskie.

Nasi dziadowie, gdyśmy byli mali, opowiadali nam o dawnej świetności Królestwa Polskiego, o królach, panach, rycerzach dziś to poszło w niepamięć, o wszystkiem zapomnieliśmy, prócz pacierza polskiego, pieśni pobożnych, gdyż tego nikt nam wydrzeć nie może i nigdy nie damy. Raczej śmiercią padniemy, aniżeli naszą polską modlitwę porzucimy. To jedno jeszcze utrzymuje nas, że jesteśmy Polakami, że wierzymy w zmartwychwstanie naszych ideałów, naszej nieszczęśliwej Polski.

Nadmienić tu muszę, że mamy bardzo piękny, okazały budynek szkolny o dwu salach naukowych i pomieszkanie dla nauczyciela. Budynek ten wybudowała tutejsza gmina przy pomocy czwartej c. k. armii i Macierzy polskiej na Wołyniu. Na dokończenie całkowite budynku szkolnego i postawienie komórek i ogrodzenia, potrzeba około 2000 koron, które z Bożą pomocą wioska złoży, a budynek nasz będzie jednym z największych budynków szkolnych na Wołyniu".



Odessa pod nowymi rządami: Ruch uliczny w Odessie po wkroczeniu wojsk austryackich. (Woj. kwat. pras.)





Praca narodowa na Wołyniu: Szkoła polska im. T. Kościuszki w Jagodynie.



Odessa pod nowymi rządami: Wkroczenie wojsk austryackich do Odessy (Woj. kwat. pras.)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny

20

Jednakże ani Frank, ani don Lopez nie wierzyli, aby ten pozorny spokój był prawdziwym, wiedząc co o tem myśleć mają i jedynie pan de Compans był w tym wypadku ślepym i nie domyślał się wcale tego, co się działo.

W ten sposób upłynęło dwa tygodnie.

Don Lopez i Oktawiusz, każdy ze swojej strony, użyli tego czasu w sposób dla siebie stosowny i praktyczny.

Don Lopez, idąc za swoją myślą, która poważnie zagłębiła się w jego umyśle, szedł zdecydowany i śmiały do uplanowanego celu. Szczególną bacznością i uwagą otoczył pana de Compans, nie tracąc ani jednego jego słowa lub gestu. Obserwował również uważnie Paskala, śledząc jego kroki i przeszłość tych ludzi stawała się dla niego coraz jaśniejsza i zrozumialsza. Bystry wzrok jego nareszcie zdołał przebić głębokie ciemności, otaczające krwawy dramat willi Bierres.

Oktawiusz zaś oddawał się innym zatrudnieniom i troskom niemniej ważnym.

Postanowienie nagłe, powzięte przez ojca Sylwii, wydało mu się tak nieprawdopodobnem, że postanowił wybadać dokładnie okoliczności, które zmusiły pana de Compans do tego kroku.

Czynił to z taktem człowieka obeznanego dokładnie z wszelakimi interesami, nie popełniając najmniejszej niedyskrecyi i nie obudzając żadnych podejrzeń.

Teraz wiedział już wszystko, czego tak gorąco dowiedzieć się pragnął.

Przypuszczał w pierwszej chwili, że gra tu ważną rolę chwilowe niepowodzenie finansowe bankiera.

Wypytywał się więc ostrożnie, badał jego przyjaciół i ludzi związanych interesami z bankiem pana de Compans i był zmuszony uznać wkrótce, że bankier niegdy jeszcze nie znajdował się w tak świetnej i błyszczącej fazie interesów i że na giełdzie imię jego było wymawiane z szacunkiem i zazdrością.

Ten dowód zadowolnił Oktawiusza.

Pewny więc siebie, przy współudziale Sylwii, okazującej mu miłość bezgraniczną, wiedział, że wcześniej czy później los odwrócić się musi do niego w łaskawy sposób.

W ostateczności gotów był pojedynkować się ze swoim rywalem, ale tylko w takim wypadku, gdyby pan de Compans trwał dalej w swoim zamiarze połączenia córki z doktorem Frankiem.

Taka więc była sytuacya obecna.

Ostatni akt dramatu miał się wkrótce rozegrać katastrofą dla niektórych osobistości, odgrywających w nim niejasne napozór role i zdawało się, że każdy z aktorów bezwiednie przyspieszał jej zakończenie.

Była jeszcze jedna osoba, której w udziale przypadła rola najgłówniejsza.

Tą osobą była Fernanda, córka ojca Andrzeja, zamordowanego w Złotej Dzielnicy.

Fernanda, jak wiadomo, była obecną przy ostatnich chwilach umierającego ojca. Umarł on na jej rękach i to okropne wrażenie miało na zawsze pozostawić ślady w jej duszy.

Ale do tej boleści dołączyło się jeszcze inne bolesne uczucie. Fernanda wiedziała, że pan de Compans zdołał obudzić w umyśle doktora Franka okropne podejrzenie i że to podejrzenie rozwinęło się w nim. Przeświadczenie to było dla Fernandy bardzo ciężkim ciosem.

W tym czasie młoda dziewczyna widywała się dosyć często z Don Lopezem i spędzała z nim długie godziny na poufnej rozmowie. Rozmowy te wpłynęły uspokajająco na jej wzburzony umysł i wywołały wyraz pogody w zasmuconych jej oczach.

Dnia tego w willi Bierres odbywała się huczna zabawa.

Od dziesięciu dni robotnicy, przysłani przez pana de Compans, restaurowali pospiesznie stary dom od strychu do pokoi parterowych, ogród został gruntownie oczyszczony i przyprowadzony do porządku, aleje wysypane piaskiem.

Dzień i noc odbywała się gorączkowa praca pod okiem Paskala, tak że stary i ponury dom, wiejący chłodem i opuszczeniem, przemienił się w wytworny, wesoły pałacyk, jaśniejący zbytkiem i wesołością.

Don Lopez kilkakrotnie zwiedzał willę w Bierres, śledząc z zainteresowaniem postępy robót, rozmawiał poufale z Paskalem i powracał do Paryża bardzo zadowolony z tego, co widział i słyszał.

Raz po dłuższej, niż zazwyczaj, rozmowie z Fernandą, postanowił nawet noc przepędzić w pałacyku.

Co tam robił i w jakim celu spędził tam noc całą, pozostało tajemnicą. Ale nazajutrz, kiedy opuszczał willę wczesnym rankiem, wydawał się zmęczonym, chociaż błysk żywego zadowolenia widniał w jego oczach. Don Lopez nie stracił nocy napróżno!

W willi Bierres odbywała się huczna zabawa.

Zabawa wspaniała, olśniewająca, jedna z takich, którą wydać tylko mogą książęta autentyczni lub książęta świata finansowego.

Kiedy tylko pierwsze zmierzchy wieczorne wypełzły z gęstwin i zakątków, park cały zajaśniał nagle oślepiającym blaskiem różnokolorowych świateł i liczna służba w eleganckiej liberyi krążyć zaczęła po alejach i ścieżkach, w oczekiwaniu zaproszonych gości.

Frank i don Lopez należeli oczywiście do ich liczby i właśnie młody doktor kończył się ubierać w swojem mieszkaniu, kiedy oznajmiono przybycie don Lopeza.

— Czy jesteś gotów już, kochany doktorze? — zapytał, wchodząc do pokoju.

— Jestem gotów, możemy jechać! — odparł Frank, witając się z nim serdecznie.

Lopez powstrzymał go ruchem ręki.

— Nie pojedziemy jeszcze — rzekł żywo, zniżając głos.

— Dlaczego?

— Jest tu ktoś, który pragnie pomówić przedtem z panem.

— Ze mną?

— Tak jest.

— Któż taki?

— Oktawiusz Gaudin.

— Oktawiusz Gaudin! — zawołał Frank ze zdziwieniem. — A cóż on może chcieć odemnie?

— Nie wiem.

— Może chce mnie wyzwać na pojedynek?

— Być może.

— A więc niech wejdzie. Gościa przychodzącego w takich zamiarach powinienem jak najspieszniej powitać! — zawołał doktor Frank.

Ale Lopez przecząco poruszył głową.

— Chwilkę jeszcze, mój przyjacielu — wyrzekł poważnie. — Człowiek taki, jak pan, nie bije się z człowiekiem takim, jakim on jest.

— Cóż pan zamierza uczynić? — zapytał Frank, nie rozumiejąc tych słów.

— Chcę przedtem sam z nim na seryo pomówić.

— W jakim celu?

— Franku — szepnął Lopez, podchodząc bliżej jeszcze do młodego człowieka — wkrótce nastąpi rozwiązanie całej naszej sprawy, tak, jak ci to mówiłem. Jesteśmy w przededniu zdemaskowania winnych i ty nie masz prawa narażać swojego życia w tak ważnej chwili dla kaprysu obojętnego człowieka. Czy rozumiesz mnie teraz?

— Nie mogę jednak pozwolić, aby mnie Oktawiusz Gaudin nazwał tchórzem — oburzył się Frank, patrząc z lekką niechęcią na towarzysza.

— Nad tem właśnie zastanawiam się obecnie. Ale pozwól mi, kochany doktorze, działać według woli. Ja sam przyjmę pana Oktawiusza Gaudin. Pomówię z nim i zaręczam, że on dobrowolnie odstąpi od swojego zamiaru, o ile zresztą przyszedł tu z myślą wyzwania cię.

Frank uścisnął rękę Lopeza.

— Rób pan, co uważasz za stosowne — odpowiedział. — Spuszczam się zupełnie na pana. Nie wiem dlaczego, ale od pierwszych chwil naszego poznania obudził pan we mnie zaufanie i znajduję się zupełnie pod twoim wpływem. Wierzę, że jesteś moim przyjacielem, pomimo tajemnicy, jaką się pan otacza i dziwnego zainteresowania się, jakie mi okazujesz, a którego pobudek nie znam jeszcze. Przyjmij więc pan Oktawiusza Gaudin, ale pamiętaj, że chodzi tu o mój honor.

— Bądź spokojny, Franku — odparł Lopez dziwnym głosem. — Czy będziesz zadowolony, kiedy ci powiem, że nie czynię żadnej różnicy pomiędzy moim, a twoim honorem? Możesz odejść teraz, uwiadomię cię o rezultacie naszej rozmowy.

Frank wyszedł, a Lopez kazał natychmiast służącemu wprowadzić oczekującego gościa.

Oktawiusz wszedł, skłonił się zimno i pytającem spojrzeniem powiódł dookoła, jakgdyby szukając kogoś.

— Pan doktor Frank? — zapytał, spostrzegłszy, że się znajduje tylko sam na sam z Lopezem.

— Pan Frank jest nieobecnym — brzmiała odpowiedź — ale jestem jego przyjacielem, więc go zastąpić mogę.

— Ale może pan Frank nadejdzie wkrótce, więc zaczekam — odparł Gaudin.

Lopez przysunął krzesło i poczęstował cygarem.

— Dziękuję panu — rzekł Oktawiusz, siadając — mam bardzo niewiele czasu i gdyby doktor Frank się opóźniał, będę zmuszony pozostawić mu mój bilet wizytowy.

Lopez przyglądał mu się przez chwilę uważnie.

— Wie pan co! — odezwał się w końcu — przeczuwam, że przyszedł tu pan nie w bardzo pokojowych zamiarach, nieprawdaż?

— Być może.

— Chce pan Franka wyzwać na pojedynek — zaśmiał się swobodnie Lopez.

— A gdyby tak było? — odparł Oktawiusz, mierząc Lopeza wyzywającem spojrzeniem.

— Gdyby tak było, to pozwól pan sobie powiedzieć, że jesteś szaleńcem!

— Panie Lopez!

— Tak, tak — twierdził Lopez przekonywująco — inaczej tego nazwać nie można.

Oktawiusz poruszył się niecierpliwie.

— W każdym razie — wyrzekł urażony — nie przyszedłem tutaj w interesie do pana i nie potrzebuję panu zdawać sprawy z moich czynów.

— Ależ oczywiście, kochany panie — odpowiedział Lopez. — Nie śmiem twierdzić inaczej. Tylko, o ile mi się zdaje, znam pana dostatecznie, aby się właśnie interesować tem, co pana dotyczy i miałem sposobność przekonania się, że pan dotąd wcale dobrze prowadził swoje sprawy. Miałem więc teraz nadzieję, że będzie pan chciał za wszelką cenę uniknąć niepotrzebnego skandalu, bo według mojego zdania, pan więcej niż ktokolwiek powinien do czasu ukrywać swoje zamiary na przyszłość.

Oktawiusz poruszył się gwałtownie i niespokojnem spojrzeniem objął mówiącego.

— Nie rozumiem pana — szepnął z widocznem pomieszaniem.

— Czy pan chce, abym to panu jaśniej wytłomaczył? — zapytał Lopez.

— Ależ oczywiście.

— Czy to pana nie urazi?

— Dlaczego?

— A więc dobrze, kochany panie. Lubię bardzo jasno określone sytuacye, a w pana i Franka interesie leży, ażebyśmy się rzeczywiście rozmówili poważnie.

Lopez usiadł naprzeciw młodego człowieka i zapalił papierosa.

— A więc — rzekł głosem pewnym i swobodnym — wiedziałem, że projekt małżeństwa pomiędzy panną Sylwią de Compans, a doktorem Frankiem, poruszy do głębi pana drażliwość i miłość własną i codziennie oczekiwałem ze strony pana na ten krok, na który zdecydował się pan dzisiaj.

— Tylko sprawy bardzo ważne, jakie miałem do uregulowania, powstrzymały mnie dotąd — odpowiedział Oktawiusz, zdziwiony słowami Lopeza.

— Sprawy, które są mi znane, panie Gaudin i które oceniam na równi z panem.

— Wątpię — mruknął Oktawiusz, patrząc podejrzliwie na Lopeza.

Tenże uśmiechnął się lekko.

— Uczyniłem apel do szczerości pana, panie Oktawiuszu — odparł z naciskiem — i widzę, że pan na to źle mi odpowiada. Ale teraz nie mamy czasu na bawienie się w słowa, maskujące obopólną naszą zręczność, więc pozwoli pan, że pójdę odrazu do celu naszej rozmowy. Niechże mnie pan wysłucha spokojnie, a następnie uczyni tak, aby był w zgodzie z własnymi interesami i wolą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odbudowa kraju w Królestwie Polskiem.

Pracę nad uregulowaniem miast w Królestwie Polskiem i sporządzaniem planów, wedle których zniszczone przez wojnę wsie, miasta i miasteczka mają się odbudowywać, ujął w swoje ręce Wydział Budowlany i Patronat stowarzyszeń budowlanych w Lublinie. Ażeby akcyę tę poprowadzić najracyonalniejszymi środkami, instytucye te dążą do ujęcia w ręce polskie handlu i produkcyi materyałami budowlanymi, ponieważ niezdrowa spekulacya w tym kierunku, szerząca się coraz więcej, mogłaby całą akcyę odbudowy sprowadzić na niepożądaną drogę. W tym celu na ziemiach polskich powstają liczne stowarzyszenia budowlane, które budują własne fabryki dachówek, cegielnie, zakłady wyrobów cementowych, tartaki, zakładają sklepy i składy z materyałami budowlanymi, zakupują poręby leśne i t. p.



Echa świąt: Inicyatorowie święconego, urządzonego dla chorych żołnierzy w szpitalu wojskowym „pod Baranami".

Dotychczas założono na samej okupacyi austryackiej Królestwa Polskiego przeszło 70 stowarzyszeń.

W ubiegłym tygodniu odbył się właśnie staraniem Patronatu Stowarzyszeń budowlanych kurs dla kierowników tych stowarzyszeń w Radomiu. Na kurs zapisało się 98 uczestników, jako przedstawiciele 38 stowarzyszeń budowlanych. Fotografia nasza przedstawia uczestników tego kursu.

Echa świąt.

Z powodu ciężkich warunków aprowizacyjnych „święcone" według dawnej tradycyi w czasie tegorocznych świąt było tylko... wspomnieniem minionych dobrych lat. W zakładach dobroczynnych i po szpitalach starano się jednak o ile możności i w tych ciężkich dla wszystkich czasach uprzyjemnić pensyonarzom święta urządzeniem choćby „wojennego" święconego. Między innemi, dzięki staraniom grona pań, opiekujących się chorymi, urządzono takie „święcone" w szpitalu „pod Baranami". W pierwszym dniu Świąt Wielkanocnych ks. Piechnik odprawił dla chorych Mszę św., poczem dokonał poświęcenia darów.



Dzieci dla dzieci: Młodociani wykonawcy „Kłopotów Marysieńki". odegranych w Teatrze Ludowym na rzecz K. B. K. i szkół chełmskich

Pogrzeb ś. p. Tadeusza Rutowskiego.

(Do illustracyi na str. 2).

Cały Lwów złożył hołd nad trumną ś. p. prezydenta Rutowskiego, którego pogrzeb stał się wyrazem czci, jaką otaczano go powszechnie. W dniu pogrzebu, już około godziny 9 rano, zebrał się przed ratuszem lwowskim nieprzejrzany tłum publiczności. W rynku pozamykano sklepy, zaświecono latarnie okryte czarnemi zasłonami. Około godziny 10 arcybiskupi Bilczewski i Theodorowicz odprawili nad zamkniętą trumną modły, poczem kondukt wyruszył przed gmach ratuszowy. Tu z trybuny przemówił zastępca komisarza rządowego prof. Chlamtacz, następnie imieniem urzędników magistratu p. Bolesław Ostrowski. Wśród bicia dzwonów katedralnych ruszył kondukt, prowadzony przez obu arcybiskupów oraz liczny zastęp duchowieństwa świeckiego i zakonnego, do bazyliki. W stallach zajęli miejsca: namiestnik hr. Huyn, marszałek krajowy Niezabitowski. metropolita Szeptycki, komendant miasta generał-major Nowotny i szereg wybitnych osobistości miasta. Mszę żałobną odprawił ks. kanonik Badeni. Około godziny 12 wyruszył żałobny orszak z bazyliki, prowadzony przez kanonika Badeniego i udał się na cmentarz łyczakowski. Wzdłuż całej drogi stały tłumy publiczności. Na cmentarzu, na lewo od głównej bramy, obok grobowca rodziny Michalskich, urządzono tymczasowy grób dla Rutowskiego. Po odmówieniu ostatnich modłów nad otwartym grobem, przemawiał imieniem m. Krakowa radny miejski Bandrowski i zaznaczył, że Kraków był początkiem działalności Rutowskiego, a obywatelstwo krakowskie czci i czcić będzie zawsze pamięć tego, który ukochał całą Polskę. Następnie przemawiali prof. Hauswald, imieniem stronnictwa demokratycznego, Parnas, imieniem żydów, Marya Dulębianka, imieniem kobiet polskich, prof. Dunikowski, w imieniu zakładników m. Lwowa, wywiezionych do Rosyi i poseł Śliwiński.



Odbudowa kraju w Królestwie Polskiem: Uczestnicy kursu dla kierowników stowarzyszeń budowlanych w Radomiu

Kronika tygodniowa.

O ile mi się zdaje, to w bieżącym roku Pańskim 1918, będę miał głównie do czynienia z rozmaitemi „Odpowiedziami Redakcyi i kronikarza" w sprawach mniej lub więcej osaoistych. Zastrzegam się, że nie na wszystkie korespondencye, skierowane pod mym adresem, odpowiadam, a to choćby tylko z tego powodu, iż w danym wypadku kronika tygodniowa musiałaby się zamienić na rubrykę „Odpowiedzi", a to chyba nie byłoby wskazanem, choć nie powiem, by nie było dla niżej niepodpisanego wygodnem, uwalniając go raz na zawsze od łamania sobie głowy nad wyszukiwaniem materyału, co, jak już kilkakrotnie miałem zaszczyt zaznaczyć, nie należy bynajmniej do zbytnich przyjemności.

Dzisiaj, zanim rozpocznę właściwą kronikę — a na porządku dziennym jest sprawa pierwszorzędnego znaczenia, bo złożenie sprawozdania, jak spędziłem święta Wielkanocne — muszę przedewszystkiem przeprosić Szanowną „Rodaczkę", która z okazyi kilkugodzinnego pokytu w Krakowie, raczyła „znanemu i kochanemu kronikarzowi" wyznaczyć randkę na dzień 23. marca w cukierni Noworolskiego.

Niestety, nie mogłem pospieszyć na wezwanie, dlaczego zaś, zaraz postaram się wytłumaczyć.

W wielkopostnym czasie tak gorliwie umartwiałem ciało, a z niem i ducha, tkwiącego w tym futerale, iż zdrowie moje, bardzo zresztą delikatne, zaczęło nieco szwankować, a ja, zmuszony okolicznościami, stałem się gorliwym stołownikiem łacińskiej kuchni, ale także wojennej. wobec czego musiałem sobie przez pewien czas odmówić przyjemności spaceru na Nową Wieś, gdzie, jak wiadomo, rozłożyły swe Lary i Penaty *Nowości illustrowane.*

Właśnie wtedy nadszedł ów list od „Rodaczki z Berna", ale do mych rąk dostał się dopiero w dniu 26. marca, więc *post festum*...

I w tem właśnie tkwi przyczyna, że nie mogłem się stawić w oznaczonym czasie i miejscu. Miał mnie wprawdzie ochotę zastąpić jeden z kolegów redakcyjnych, który przeczytał list przeczytał, ale będąc sam żonatym, a nadto mając teściowę, zrezygnował w ostatniej chwili z kariego, jak mu się może i słusznie wydawało, zamiaru.

Koniec końców mimowoli poszedłem w ślady biblijnego Józefa, na którego cnotę czyniła zasadzki pożądliwa Putyfarowa i wyszedłem zwycięsko z tej próby, ale tylko dlatego, iż tak się okoliczności złożyły... Na tego rodzaju wezwanie nie powinno się pozostać głuchym, choćby tylko z tego powodu, że się ma do czynienia z płcią nadobną, a tej należą się pewne szczególniejsze względy.

Na jedno jeszcze muszę zwrócić uwagę Szanownej „Rodaczki". W liście swym zaznacza, że na to chyba „Weronisia pozwoli", gdyż „Rodaczka, mieszkająca daleko od Krakowa, a bawiąca tutaj tylko przez kilka godzin, nie może być niebezpieczną dla szczęścia i spokoju małżeńskiego". Radzi mi ją też w tym kierunku udobruchać...

Otóż, co się tego tyczy, to ja, jako głowa domu robię zawsze tylko to, co się mi podoba, nikogo o pozwolenie nie pytając, w drugim zaś wypadku o żadnem „udobruchaniu" nawet mowy być nie może. Wszelkie uwagi w tym względzie byłyby bezprzedmiotowe. Weronisia ma bowiem swoje zasady, od których ani na cal nie ustąpi, a specyalnie na punkcie wierności małżeńskiej jest nadzwyczaj drażliwa.

Niechaj jednak „Rodaczka" nie myśli może, że ja z rezygnacyą poddaję się swemu losowi, zepchnięty delikatną rączką mej połowicy do wcale wygodnej roli „pantofla". Broń Boże!... Jak już wyżej zaznaczyłem, jestem głową domu i zawsze o tem pamiętam, choć z drugiej znów strony przyznać muszę, że jest szyja, która tą głową kręci jak jej się podoba.

Ową szyją jest właśnie zacna Weronika.

Nie wyklucza to przecież możliwości bym od czasu do czasu nie potrafił, jak to powiadają, postawić na swojem. Próbuję tego nieraz i niejednokrotnie mi się to udaje.

Ot. nie tak dawno temu, bo bezpośrednio przed samemi świętami, przyszło między nami do lekkiego małżeńskiego nieporozumienia na tle aprowizacyjnem. Ja w tym kierunku mam swoje zdanie, Weronisia swoje, a ponieważ zdarzyło się właśnie, że te oba zdania nieco się między sobą różniły, przyszło między nami do lekkiego starcia... Weronika jest popędliwą (w jej żyłach płynie krew włoska...) wobec czego, nauczony długoletniem doświadczeniem, wybrałem sobie bezpieczny odcinem, to jest ulokowałem się pod stołem, wołając stamtąd:

— A co mi zrobisz?...

Nie było mi tam wygodnie, ale w każdym razie bezpieczniej niż na wolnem powietrzu (a trzeba przyznać, że moja lepsza połowa może się poszczycić znakomitą wprawą w używaniu ...granatów ręcznych) nie myślałem więc opuszczać swego „dekunku", co wreszcie i jej się sprzykrzyło. Kazała mi stamtąd wyleźć, ale ja oświadczyłem jej krótko i stanowczo, że jest m panem domu, mogę więc siedzieć jak długo mi się zechce i spodoba. Ostatecznie przyszło do rokowań pokojowych, ja jej obiecałem dostarczyć mąki ukraińskiej, ona zaś zdecydowała się „przebaczyć mi wyjątkowo jeszcze tym razem" i znów zapanowała między nami miła zgoda i harmonia.

Jak z tego Szanowna „Rodaczka" widzi, na samodzielności mi nie zbywa, jestem panem swojej woli i nawet przyznam się, że bardzo nie lubię, jeśli kto w tym kierunku wyraża pewne powątpiewanie. Nie zjawiłem się u Noworolskiego nie z zakazu więc Weroniki, jakby może kto myślał, ale z powodu fatalnego zbiegu okoliczności. Co się jednak odwlecze, to nie uciecze!... Polecam się na przyszłość, zaznaczając, że najodpowiedniejszym byłby czas, gdy mój fraucymer bawi na letnich wywczasach, gdyż wtedy mam więcej swobody i mogę dowolnie swą osobą dysponować.

A teraz zacznijmy z innej beczki.

Do świąt wielkanocnych przygotowywaliśmy się bardzo skrupulatnie, gromadząc w tym celu przeważnie nie zapasy różnych smakołyków, ale wspomnienia lepszej przeszłości. Dziś święta owe należą także do przeszłości. W niedzielę obchodził je ogół, w poniedziałek Zwierzyniec, we wtorek Podgórze, w przewodnią niedzielę wreszcie i Kleparz i na tem się skończyło. Przedwojenny baranek, ozdoba stołu święlalnego, powędrował znów do szafy, by tam oczekiwać lepszych konjunktur, choćby już w roku najbliższym.

Tegoroczne święta nie powinny mieć nawet pretensyi do tego miana, świętami bowiem nie były bynajmniej. Staropolskie tradycye musiały pójść w kąt, znana nasza cnota gościnności nie znalazła pola wdzięcznego do popisu!

Smutne to, a jednak prawdziwe. Na stole świątalnym przeciętnego obywatela rozszerzonego Krakowa, prócz baranka z cukru (o ile go nie zjedzono w międzyczasie), przechowywanego w domowym inwentarzu z roku na rok, solniczki, ale tylko z solą, a bez pieprzu i karafki z wodą, nic właściwie nie widziałeś. Nic też dziwnego, że i miny biesiadników, jeśli tak się ich nazwać godzi, były odpowiednio dostrojone, a raczej rozstrojone. Winszowano sobie na sucho, przypominając sobie dawne lepsze lata, kiedy niczego w tym okresie nie brakowało.

A dzisiaj?...

O dzisiejszych kłopotach nawet wspominać nie warto, bo przykra rzeczywistość wyciska grubą łzę z oka, skazanego dziś na bezrobocie, gdy dawniej pasło się widokiem różnych specyałów. Nie wyklucza to przecież, że i dziś spotkałeś jeszcze tu i ówdzie szczęśliwca, który mógł sobie pozwolić na całą szynkę, ugarnirowaną odpowiednią ilością różnych kiełbas, ozorów i tym podobnych delikatesów, że zdobiły stoły torty i baby (pieczone, nie żywe!...), ale takich szczęśliwców, którzy mogli sobie na podobny zbytek pozwolić, było mało. Ja sam znalazłem się na tego rodzaju święconem, nie ustępującem pod żadnym względem przedwojennemu.

Aby gospodarstwa nie obrazić, nie zaś z łakomstwa, jadł też człowiek, aż mu się uszy trzęsły. Pan domu zachęcał do dalszego ciągu, nikt zaś nie odmawiał, już choćby tylko z tego powodu, że taka gratka nie tak prędko się znów powtórzy, bo, jeśli tęłziemy dalej zwyciężać, w tem samem tempie co dotąd, następne święta muszą się przedstawić w jeszcze czarniejszych kolorach.

Wszystko ma swój koniec, miała go też i staropolska gościnność pana domu, który, widząc z jakim pospiechem nikną mozolnie nagromadzone zapasy w otchłaniach brzusznych szanownych gości, a chcąc ratować bodaj reszteki, postanowił uciec się do podstępu. Zaczął więc nosem kręcić, wreszcie odezwał się w te słowa:

— Nie wiem, ale mi się zdaje, że ta szynka nie jest zupełnie świeża!... Zwracam na to uwagę panów, gdyż nie chciałbym mieć nikogo na sumieniu...

W gronie owych biesiadników znajdował się i aptekarz, który słysząc te słowa, odparł:

— To bardzo pięknie się składa!.. Jeśli państwo zepsujecie sobie żołądeczki, proszę pamiętać o mej aptece... Mam zawsze wszystkie środki na składzie.

I prawdopodobnie celem zachęcenia innych, by sobie zepsuli żołądki, nabrał jeszcze raz szynki na talerz, a gospodarz obrzucił go tęsknym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć:

— Panie Boże!... Ty widzisz, a nie grzmisz!...

Ale, jak się już wyżej rzekło, takich domów, gdzie hołdowano staropolskim tradycyom, dając folgę obżarstwu i pijaństwu, było mało, można je prawie na palcach jednej ręki policzyć. Reszta lizała łapę i przeżuwała dawne wspomnienia...

Dobrze przynajmniej, że pogoda nam dopisała, wobec czego, nie mając nic lepszego do roboty, można było pójść bodaj na spacer.

Tak też, a nie inaczej, uczynił kronikarz i to w oba dni świąt i wyszedł na tem dobrze. nie mogąc bowiem nasycić odpowiednio swego ciała, ukontentował bodaj ducha pięknymi widokami budzącej się do nowego życia przyrody.

Miałem rozum, że w poprzedniej kronice nie dałem się unieść bujnej wyobraźni i nie opisałem jak spędziłem święta. Przypuszczałem, że spotka nas jaka niespodzianka i bynajmniej się nie pomyliłem. Pierwszy dzień świąt miał sobie być zwykłym dniem, dopiero na poniedziałek zwracałem szczególniejszą uwagę, zeszło się bowiem wówczas sporo różnych okoliczności, mających ścisły związek z życiem mieszkańców Krakusowego grodu.

W pierwszym więc rzędzie cieszył się każdy pensyą, o ile ją dostał, jeśli się zaś dowiedział, że wybrał ją już zaliczkami, zaczynał sobie łamać głowę nad wynalezieniem nowych źródeł dochodu i narzekał, że ten miesiąc jest wyjątkowo ciężki. W innych miesiącach do najgorszych się liczą ostatnie dwadzieścia ośm dni, w kwietniu całe trzydzieści!... Czarna melancholia kąsa człowieka po łydkach na samą myśl, że przez trzydzieści dni z rzędu, ledwie tylko oczy otworzy, musi westchnąć:

— Skąd tu dziś wziąć pieniędzy?...

Do tego już przyzwyczailiśmy się, nie może to więc być policzonem na karb niespodzianek.

Natomiast prawdziwą niespodzianką było, iż choć w tym dniu przypadał pierwszy kwiecień, prawie nikt nikogo nie zwodził. Przez rok cały doznaliśmy tyle zawodów, że bodaj w tym jednym dniu starano się od nich uwolnić.

Kto tak myślał, myślał dobrze.

Na porządku dziennym był również „Śmigus" i „Emaus". Oba wypadły bardzo mizernie. Lano, ale przeważnie wodę, na Zwierzyniec pociągnęło sporo ciekawych, którzy wracali potem z tradycyjnemi tatrkami, gwizdkami i podobnymi, uprzyjemniającymi spokojny żywot przedmiotami, wymyślonymi na pociechę młodego pokolenia, a utrapienie starych.

I *blaumontag* nie był też niespodzianką. Obchodziliśmy go prawie wszyscy, choć bowiem nie jesteśmy szewcami *de facto*, możemy się przecież przyznać do ich koleżeństwa, mając przeważnie podarte buty, co, jak wiadomo, jest cechą charakterystyczną członków tej szlachetnej korporacyi, której *blaumontag* jest przywilejem. Powiedzieć przecież się musi, że dzisiejszy *blaumontag* nie wytrzymuje bynajmniej porównania z dawnym, należącym już, niestety, do tradycyi.

Zato niespodziankę prawdziwą sprawiło nam zapowiedziane na dzień pierwszego kwietnia wprowadzenie czasu letniego.

Z tem zaś rzecz miała się mniej więcej w ten deseń.

Od dłuższego już czasu zapowiadano głośno, iż każdy, posiadający „sikorę", o ile mu życie miłe, winien ją w dniu pierwszego kwietnia, a raczej jej wskazówki, cofnąć o godzinę, by w ten sposób rozpocząć urzędowo czas letni. Ze względu na żonatych mężów porę nocną z niedzieli na poniedziałek i wszystko byłoby już w zupełnym porządku, gdyż przygotowania poczyniono należyte. gdy nagle z Berlina nadeszła wieść, że wprowadzenie urzędowego czasu letniego odkłada się na piętnastego kwietnia.

Ile na tem tle było nieporozumień małżeńskich, łatwo sobie wyobrazić, zwłaszcza jeśli się zważy, że odwołano ogłoszenie zbyt późno, tak iż nie każdy szczęśliwy posiadacz zegarka, mający się zabrać do tej urzędowej czynności, mógł je przyjąć do swej wiadomości.

Była więc niespodzianka, gdy mąż wrócił rano do domu, a żona pyta:

— Skąd pan o tym czasie?

— Wiesz, duszko — brzmiała odpowiedź dość niepewna — że trzeba było wyregulować zegarek!...

— Tak! Uważam, że wyregulowałeś się dokumentnie, ale widocznie zapomniałeś o tem, że zaprowadzenie letniego czasu urzędowego odłożono na połowę kwietnia!

— Co ty mówisz!... Nic o tem nie wiedziałem... Ale nie moja wina!... Dawniej czytywałem stale *Kuryerka* i wiedziałem czego się trzymać, dziś jest człowiek bez niego „jak tabaka w rogu..." Nie do mnie więc miej pretensyę, ale do tych, którzy go zawiesili!

Ponieważ to, co robi się w poniedziałek, powtarza się potem, tak przynajmniej mówią, przez cały tydzień, nie mogliśmy *eo ipso* narzekać na brak niespodzianek.

Z tygodnia.

Nowe orędzie Wilsona.

Na uroczystości rocznicy wstąpienia w wojnę Stanów Zjednoczonych i otwarcia kampanii za trzecią pożyczką wolnościową, wygłosił prezydent Wilson w Baltimore mowę, w której, jak donosi c. k. Biuro korespondencyjne, powiedział:

Dziś przypada rocznica podjęcia przez nas wyzwania przez Niemców do walki za nasze prawo do wolnego życia i wolności i za równe prawa narodów całego świata. Naród się obudził i nie trzeba go budzić. Wiecie, że wojna nakłada na nas największe ofiary, że żąda ona od nas naszych najlepszych mężów, a jeżeli tego będzie potrzeba, także naszego mienia. Nie przybyłem tu, aby mówić o konieczności pożyczki, lecz aby wam przedstawić żywy pogląd na cele, którym ona służy.

Powody tej największej wojny, powody, dla których musieliśmy się wdać w walkę i co od tej walki zależy, wszystko to dziś jest jaśniejszem, niż przedtem. Stany Zjednoczone mogą teraz bardziej, niż kiedykolwiek, być pewne, że ich los zależy od tego i że jeżeli wojna będzie przegraną, stracone będzie ich stanowisko, jako wielkiego narodu, a równocześnie i ich misya w świecie. Wzywam moich współobywateli na świadków, że w żadnej fazie tej strasznej wojny w naszych sądach nie dopuściliśmy się przesady co do zamiarów niemieckich. Wobec wydarzeń, które mają tak stanowczy wpływ na los ludzkości i całego świata, wstydziłbym się używać słów twardych, lub wyrazów tchnących nienawiścią i zemstą.

Staraliśmy się dowiedzieć o zamiarach, jakie mają Niemcy w tej wojnie, z wywodów ich własnych mowców i postępować wobec nich tak samo otwarcie, jak oni tego sobie życzą, abyśmy wobec nich postępowali otwarcie. Wyjawiliśmy ideały i zamiary Ameryki bez zastrzeżeń i bez stosowania dwuznaczności i wezwaliśmy nieprzyjaciół, aby tak samo otwarcie powiedzieli, do czego zmierzają. Odpowiedzieli oni w wyrażeniach, których nie można źle zrozumieć i oświadczyli, że nie szukają sprawiedliwości, lecz panowania i przeprowadzenia swej woli bez przeszkód. Niemcy odpowiedzieli nie przez swoich mężów stanu, lecz przez swoich wojskowych dowódców, którzy istotnie panują w Niemczech.

Nie można tego w Stanach Zjednoczonych fałszywie rozumieć, co robili oni w Rosyi, Finlandyi, Ukrainie i Rumunii, a Ameryka jest uprawnioną do przyjęcia, że uczyniliby to samo na froncie zachodnim, gdyby nie stali naprzeciw armii, która nawet przez ich niezliczone dywizye nie może być pokonaną. Gdyby Niemcy, skoroby poznali, że ten opór jest nie do przezwyciężenia, postawili pomyślne i sprawiedliwe warunki co do Belgii, Francyi i Włoch, to czyż mogliby ganić Amerykanów, gdyby ci wyciągnęli z tego wniosek, że stało się to tylko dlatego, aby daną była nieprzyjaciołom wolna ręka w Rosyi i na wschodzie?

Jest bezwątpienia zamiarem nieprzyjaciela, aby uczynić podatnymi swej woli i pożądliwości wszystkie narody słowiańskie, wszystkie cele ludów, zamieszkujących półwysep Bałkański i wszystkie kraje, nad którymi władała Turcya, lecz nimi nie rządziła, zbudować państwo światowe przemocy, żądzy zysku i przewagi handlowej, które dla Ameryki byłoby tak samo nieprzyjaznem, jak i dla Europy i wreszcie opanowałoby Persyę, Indye i narody na dalekim wschodzie.

Wilson zakończył mowę:

Cóż więc mamy czynić? Co do mnie, to nawet teraz jestem gotów wdać się w rozmowę o pokoju sprawiedliwym i trwałym i każdego też czasu, kiedyby go życzono sobie szczerze, o pokoju, na którymby silni i słabi wyszli równie dobrze. Lecz gdy zaproponowałem taki pokój nadeszła odpowiedź od niemieckich dowódców w Rosyi. Znaczenia tej odpowiedzi nie mogę źle zrozumieć. Przyjmuję to wyzwanie i wiem, że wy je przyjmujecie. Cały świat powinien wiedzieć, że wy je przyjmujecie. Niemcy powiedziały jeszcze raz, że tylko siła ma rozstrzygnąć sama, czy ma wśród ludzi panować sprawiedliwy pokój i czy prawo, jak je pojmuje Ameryka, ma rozstrzygnąć o losach ludzkości, czy też panowanie takie, jak sobie je Niemcy przedstawiają. Dlatego możemy dać tylko jedną odpowiedź, a jest to siła, siła aż do ostateczności, siła bez granic, **siła prawdziwie tryumfująca, która przy**wróci znów ustawom świata ich prawa i obali w proch wszelkie samolubne panowanie.

Ustawa o powszechnej pracy wojennej.

Rząd austryacki przedłożył Izbie posłów projekt ustawy o powszechnym obowiązku pracy podczas wojny. Ustawa zawiera następujące przepisy:

Każdy mężczyzna, począwszy od rozpoczęcia 17 roku życia aż do ukończenia 60 roku życia, tudzież każda kobieta od 19 do 40 roku życia mają skutkiem nadzwyczajnych stosunków, spowodowanych przez wojnę, obowiązek pracowania dla celów ogóln. Ten obowiązek jest w myśl niniejszej ustawy obowiązkiem publicznym. Praca może być wymagana nie tylko na rzecz państwa, lecz także na rzecz kraju, powiatu lub gminy, a w interesie publicznym także przy pewnej osobie (fizycznej lub prawnej).

Do pracy na podstawie niniejszej ustawy nie są obowiązane osoby, pełniące służbę czynną w wojsku lub żandarmeryi lub zobowiązane do osobistej służby na rzecz celów wojennych; czynni urzędnicy dworscy, państwowi, krajowi, powiatowi i gminni; członkowie ciał konstytucyjnych, przewodniczący rad powiatowych tudzież ich zastępcy, członkowie przełożeństw gminnych, duchowni, notaryusze i nauczyciele szkół publicznych.

Wezwanie do pracy następuje tylko wtedy, jeżeli liczba osób zgłaszających się dobrowolnie, jest niewystarczającą. Przy wzywaniu do pracy należy uwzględnić osobistą zdatność i możność świadczenia, zwłaszcza płeć, wiek, stan fizyczny, zawód, wiadomości o zręczności, stosunki rodzinne, tudzież możność wystarczającego utrzymania za płacę, należącą się od żądanej roboty. Każdy ma obowiązek podania władzom wszelkich informacyj, odnoszących się do tych szczegółów.

Zasadniczo praca wojenna ma się odbywać w miejscu stałego pobytu, albo w takiej bliskości, ażeby przenosiny były niepotrzebne.

W okręgu operacyjnym armii polowej praca pomocnicza może być wymagana tylko w szczególnych wypadkach i to jedynie poza obrębem ognia.

Wzwanemu do pracy należy się podczas pracy wynagrodzenie odpowiadające jego zawodowemu wykształceniu i wykonywanej pracy, tudzież warunkom życia i pracy w miejscu pełnienia obowiązku.

Przedsiębiorstwa, fabryki, zakłady, służące szczególniej ważnym interesom ogółu, zwłaszcza zaś potrzebom wojennym i mające z tego powodu prawo do korzystania z obowiązkowej służby pomocniczej oznacza po wysłuchaniu opinii państwowej komisyi pracy ministerstwo obrony krajowej w porozumieniu z przynależnem ministerstwem. W tym wypadku właściciel, przedsiębiorstwa musi je dalej prowadzić. Równie wszystkie osoby, zatrudnione w takiem przedsiębiorstwie do chwili uznania go za przedsiębiorstwo, zarówno wszyscy pracownicy jak sam właściciel muszą na mocy niniejszej ustawy pracować dalej. Dla przedsiębiorstw obowiązkowych może ministerstwo obrony krajowej wyznaczyć państwowego kierownika, który zyskuje charakter urzędnika publicznego. Minister obrony krajowej ma prawo przedsiębiorstwu obowiązkowemu odebrać cechę obowiązkowości.

Kto z umysłu lub niedbalstwa nie czyni zadość wezwaniu do pracy, kto nie chce wykonywać pracy lub ją stale zaniedbuje, kto bez uzasadnionego powodu nie przychodzi do pracy dłużej niż przez 24 godzin, ulega karze aresztu aż do trzech miesięcy, ewentualnie w połączeniu z grzywną wynoszącą 10 000 koron, albo też karze pieniężnej aż do 10 000 koron. W razie powtórnego przekroczenia kara więzienia dochodzi do sześciu miesięcy, do czego może być dodaną grzywna aż do 20 000 koron. Obowiązanego do pracy dostawia władza siłą.

Kto w zamiarze utrudniania pracy w przedsiębiorstwie, w którem jest zajęty, dopuszcza się wykroczeń, ulega karze ścisłego aresztu od 1 do 6 miesięcy z ewentualną grzywną do 20 000 koron.

Kto w zupełności lub częściowo wzbrania się pracować, albo pracuje tak niedbale, że utrudnia ruch w przedsiębiorstwie, ten ulega karze ścisłego aresztu od sześciu tygodni do jednego roku z ewentualną grzywną do 20 000 koron.

Jeżeli przez jakiś czyn narażone są na szwank wojskowe interesy monarchii, lub sprzymierzonych państw, albo też zaopatrzenie ludności w żywność, to kara wynosi trzy miesiące do trzech lat ścisłego aresztu z ewentualną grzywną do 100 000 koron. Jeżeli sprawca mógł przewidzieć takie skutki, to kara więzienia wynosi rok do pięciu lat, z ewentualną grzywną do 100.000 koron. W razie, jeżeli sprawca już był poprzednio karany za takie przestępstwo, to kara więzienia wynosi rok do pięciu lat z ewentualną grzywną do 200 000 koron. Kara zastępcza za grzywnę wymierzana jest odpowiednio do winy, ale nie może być wyższa od największego wymiaru kary wolnościowej.

Ustawa ta wchodzi w życie z dniem jej ogłoszenia, a wygasa, o ile nie zostanie zniesioną przez gabinet, w rok po zawarciu ostatniego pokoju z mocarstwami europejskiemi.

Dzieci dla dzieci.

(Do illustracyi na str. 9).

Pod hasłem „dzieci dla dzieci“ odbyły się w Teatrze ludowym przy ul. Rajskiej trzy przedstawienia, urządzone przez Komitet pań pod przewodnictwem p. Ludwikowej du Puget Puszetowej, na rzecz K. B. K. i na szkoły na Chełmszczyźnie i Podlasiu. Odegrano „Kłopoty Marysieńki“, baśń sceniczną p. Ireny Pniowerówny z muzyką p. Fiszer-Machalskiej. Przedstawienie, które reżyserował artysta teatru miejskiego p. Noskowski, wypadło pod każdym względem doskonale. Dziatwa, biorąca w niem udział, świetnie wywiązała się ze swego zadania, zyskała też ogólny poklask młodocianych widzów.

Głosy publiczne.

Do Przyjaciół Śląska Cieszyńskiego!

„On zawsze głodny, choć pożarł tak wiele.
Na resztę naszą rozdziera gardziele.
. . . .
Wspólna moc tylko zdoła nas ocalić!“...
(A. Mickiewicz).

Polska Ostrawa, położona na zachodniej granicy Śląska Cieszyńskiego, była odwieczną osadą słowiańską, a o przynależności jej do Polski świadczy sama nazwa. Dziś jeszcze mieszka tu około siedm tysięcy Polaków.

Polska Ostrawa i jej okolica jest jedną z najgłówniejszych bram zachodnich,

Biurokracya niemiecka i wielki kapitał niemiecki oplątuja tysiącznymi splotami słabsze kulturalnie i ekonomicznie polskie masy ludowe, narzucając im germanizujące szkoły, w szczególności dobrze zorganizowane szkoły wydziałowe i zawodowe. Takich szkół Niemcy Polakom konsekwentnie odmawiają, nie chcąc dopuścić do wytworzenia polskiego stanu średniego.

Na Śląsku Cieszyńskim 18 procent Niemców ma 15 szkół wydziałowych i kilka zawodowych, a 55 procent Polaków ma wszystkiego jedną szkołę wydziałową. Dwadzieścia tysięcy Polaków w okolicy Polskiej Ostrawy nie posiada ani jednej szkoły wydziałowej. W Polskiej Ostrawie na niespełna tysiąc wszystkich niemieckich mieszkańców istnieje pięć niemieckich sześcioklasowych szkół ludowych i jedna wydziałowa, do których uczęszcza przeszło półtora tysiąca dzieci, z czego najmniej tysiąc przypada na dzieci polskie.

W setną rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki powstał w Polskiej Ostrawie komitet, który wziął sobie za zadanie doprowadzić w Polskiej Ostrawie do otwarcia szkoły wydziałowej, jako żywego pomnika Tadeusza Kościuszki na Śląsku.

Bieżące koszta utrzymania szkoły przyjęła na siebie Macierz szkolna i T. S. L. Komitet podpisany ma dać tylko odpowiedni gmach na pomieszczenie zakładu.

Organizując wzorową polską szkołę wydziałową im. Tadeusza Kościuszki, podejmujemy nierówną walkę ze szkołą germanizującą

a w walce tej prosimy gorąco wszystkich Rodaków o pomoc materyalną. Gmach projektowany będzie kosztował przeszło 100.000 kor., czego biedna tubylcza ludność robotnicza sama złożyć nie zdoła.

Kto tylko uznając ważność obrony zachodnich rubieży piastowskich, ten raczy łaskawie zebrać choćby najdrobniejsze ofiary w kole Swych znajomych i przesłać je na żywy pomnik Kościuszki w Polskiej Ostrawie do Banku rolniczego we Frysztacie.

Ze staropolskiem pozdrowieniem
Komitet szkoły wydziałowej im. Tadeusza Kościuszki
w Polskiej Ostrawie.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lisińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipiński. Nakładem własnego zakładu. Drukarnia W. L. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.